RÓK DRUGI.

№ 35.

Warszawa

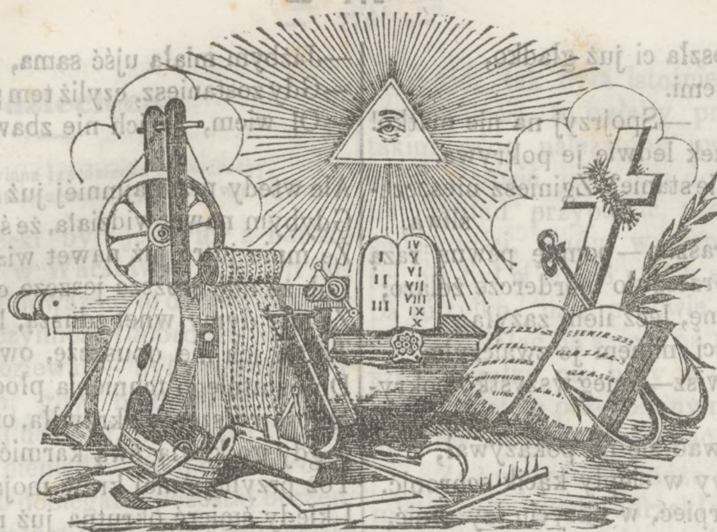
Dnia 18 (30)

Sierpnia

1857.

Niedziela

12 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nie czytaj nigdy słowa Bożego w tym zamiarze, abyś się mógł wymowniejszym lub mędrszym wydawać. Staraj się poskramiać i martwić wady twoje; więcej ci to przyniesie pożytku, jak wiadomość badań najtrudniejszych. (O naśl. Chr. K. 3. R. 43).

Dwie Jaskółki kominiarki.

—

Wczoraj wróciwszy do dom, że zima już bliska,
Oglądałem starannie w stancyi ogniska,
Gdy przez komin, co nad dach wybiega w niebiosy,
Wiatr jesienny mi przyniósł dwa jaskółcze głosy:
— Moja córko! czas na nas—zimy przewodniki
Już wczoraj tu przybyły, liczne czajek szyki,
A z wierzchołka jesionu, co dom ten osłania
Potrzykroć dano hasło naszego zebrania;
Ty przecież na twem gnieździe siedzisz jakby głazem,
Zbierz prędko twoje dziatki, wyruszym ztąd razem.
—Nie matko! ja zostanę.
—Dlaczego? leć z nami,
Pomiędzy najpierwszemi będziem szeregami;
Miejsca zebrania blizkie, tuż poza tym borem,
A godzina zebrania jest samym wieczorem,
Byśmy, gdy nas noc czarna swym płaszczem osłoni,
Unikły wzroku ludzi, złych ptaków pogoni.
— Droga matko! twa córka ztąd już nie odleci
Ani dziś, ani jutro, ani za dzień trzeci.
— A toż znowu dlaczego?
—W gniazdku, com w niem wzrosła
Pełna słodkich nadziei, pierwsze'm jajka zniosła,
By z nich drobne dla świata wychować potomstwo;
Kiedy okrutnik jakiś przez złość czy łakomstwo
Wydarł mi drogi płód mój i zniszczył gniazdeczko,
Życie szybką jedynie zbawiłam ucieczką,
I w tym'em się nareszcie kominie schroniła,
I tu'm swoje nanowo gniazdko ulepiła
I w niem nowe miłości złożyłam owoce.
Lecz że to w późnéj porze, ztąd się dziś kłopocę;
Gdyż jeszcze małych moich niepewne skrzydełka
Nie uniosłyby nawet do tego źródełka.
— Wiedz moja córko!— młodość, jak to zwykle bywa,
Dla braku doświadczenia staje się lękliwa;
I tyś się w roku zeszłym dziecię niemniéj bało,
Dopóki ojca skrzydło cię nie podtrzymało;

Odtąd cała nauka poszła ci już gładko,
Tak ty zrób ze swojemi.
—Spojrzyj na nie matko!
Rzadki i miękki puszek ledwie je pokrywa.
— Lecz cóż z tobą się stanie? Zginiesz nieszczęśliwa,
Gdyż zima jest tu straszną—pomnę pewną razą
Skrzydło me w lot przeszyło mordercze żelazo;
Ztąd zostałam na zimę, lecz ilem zażyła
Mąk, cierpień i boleści, nimem je zwalczyła,
To sobie nie wystawisz—śnieg wszystko pokrywał,
Nigdzie muszka ni owad się nie pokazywał,
I nie było gdzie głowy w ciepły kącik schronić.
Lecz trzeba było cierpieć, w ukryciu łzy ronić,
Aby niemi osłodzić ciężkich smutków brzemię.
Widziałam inne ptaki, padały na ziemię,
I umierały z zimna.
— Z zimna matko droga?
Ah! jakaż śmierć okropna w męczarni, dla Boga!..
—Tak, z zimna córko—inne z innego powodu,
Bo widziałam i takie, co też marły z głodu.
—I z głodu marły?
—A ja zostałam przy życiu,
Chociaż w tak lekkiem, jak wiesz piór naszych okryciu.

Lecz wprzód długo walczyłam z pewnym niemal zgonem,
Czepiałam się do murów, poiłam się szronem,
Wyszukiwałam starych pajęczyny szczątek,
I z niéj to się resztkami karmiłam żyjątek;
W takich mękach spędziłam pięć miesięcy całe.
Więc miéj litość nad sobą, zwołaj twoje małe,
I wraz z niemi polecim zwykłą naszą drogą.
—Ledwie że wokół dachu same przebiedz mogą.
—Nic nie szkodzi, krąż wkoło, podając ich oku
To robaczka, to muszkę, co nieść będziesz w dziobku,
Aż je złożysz w glinianym twego gniazda żłobku,
A gdy znajdą zachętę w podobnym widoku,
To same gonić będą i będą się silić,
By wzlecić aż do muszki, i nią się posilić.
I gdy raz tym sposobem doświadczą swéj siły,
To w powietrzu z ochotą będą już krążyły;
Taką przecież i twoja pierwsza próba była.
—Być może, lecz jam w czasie żniw się nie rodziła.
—Więc uchodź, chociaż bez nich moja córko luba,
Z miejsc tych, w których cię pewna oczekuje zguba.
—Jażbym miała ujść sama, a dziatki zostawić?
—Gdy zostaniesz, czyliż tem potrafisz je zbawić?
—O! wiem, że ich nie zbawię, choć z niemi zostanę,
Ale wtedy przynajmniéj już nie zginą same.
Gdybym nawet widziała, że śmierć prędka grozi,
Że mnie jutro już nawet wiatr północny zmrozi,
Lub że mię sroższe jeszcze czekają męczarnie,
Że mię dymy wnet zduszą, lub płomień ogarnie,
To też ich nie opuszczę, owszem będę słonić,
Do ostatniego tchnienia płodu mego bronić;
Miłość rozszerzy skrzydła, on pod nie się schroni,
A gdy go krwią swą karmić natura mi broni,
Toż przynajmniéj krew moja ogrzewać go może;
I kiedy śmierć okrutna już me siły zmoże,
Wtedy żegnając dziatki ostatniem już tchnieniem,
Własne zwłoki im zrobię chwilowem schronieniem.
—O! córko, dobrze czynisz, jabym takąż była,
Odważna jak ty dzisiaj, ciebiebym broniła;
I gdyby nie mój drobiazg, co mnie z sobą wzywa,
Dzieliłabym twe trudy córko nieszczęśliwa,
Lecz trzeba nam się rozstać; oby każdą dobą
Bóg dobry czuwał tutaj nad dziećmi i tobą,
Oby ci szczęsną była ta pora zimowa!
A teraz, żegnaj córko!... na długo... bądź zdrowa!..

—

Nie słyszałem nic więcej, po skrzydeł szeleście
Odlot matki jaskółki poznałem nareszcie;
Późniéj lekkie westchnienie, to mi przeczuć dało,
Ile w sercu ptaszyny rzewnych uczuć grało;
Więcem się w komin schylił, i rzekłem ptaszynie:
— Nie bój się jaskółeczko, płód twój tu nie zginie;
Codzień ci się dostanie karma tak obfita,
Że się dziatki pożywią, i ty będziesz syta.
Wśród komina zaś zrobię stosowną przegrodę,
Co od dymu zasłoni twe potomstwo młode,
A tylko wolne przejście da ciepłemu tchnieniu,
Co sama czerpać będzie w ożywczym płomieniu.

Czuję to, iż me serce z wzruszenia zabije,
Gdy z wiosną matka twoja w miejsca te przybieży,
Przekonać się, czy droga córka jeszcze żyje,
I ujrzy cię tak zdrową; oczom nie uwierzy,
A ty jéj kreślić będziesz ubiegłych chwil dzieje,
Twoje smutki, obawy i twoje nadzieje.

———

Łza dziecięca.

—

Jeżeli cię niewinna łza dziecka nie wzruszy,
Toś już wszystkie uczucia wygładził w swéj duszy.

Pan Jakób Statecki był jednym z bardzo wziętych doktorów w Warszawie. Był on powszechnie lubionym i poważanym dla swego słodkiego charakteru, uczynności i dobrodziejstw, jakie wokoło siebie rozlewał — był prawdziwą opatrznością biednych, gdyż nietylko że im bezpłatnie pomocy swéj udzielał, ale często i na lekarstwa i na chleb pieniędzy im dawał. Pomimo, że mu lat już 60 dobiegało, pozostał bezżennym, co niejednokrotnie było powodem podziwienia dla jego przyjaciół i znajomych, i powszechnéj pomiędzy niemi opinii, iż nieszczęśliwa w młodości miłość musiała być tego przyczyną.

Zdarzyło się, iż lekka słabość zatrzymała naszego doktora przez dni kilka w domu; jak się tylko koledzy jego o tem dowiedzieli, zaraz nazajutrz kilku z nich przybyło przepędzić z nim wieczór, iżby samotność jego osłodzić. Przyjął on ich ze zwykłą sobie uprzejmością, i przy dobréj herbatce wszczęła się ogólna pogawędka. Mówiono o wypadkach miejscowych, o panujących chorobach i sposobie ich leczenia, wreszcie od chorób ciała, zeszła rozmowa do cierpień duszy. Wtedy jeden z obecnych rzucił pytanie, czy lękliwość jest do wyleczenia?

— Mojem zdaniem, *nie*, odrzekł drugi. Natura tworzy nas śmiałymi lub lękliwymi; przymioty te przynosimy już z sobą na świat, a wiek je rozwija; dlatego utrzymuję śmiało, iż sztuka tego rodzaju chorobom nie jest zdolną zaradzić.

— Tak jest, dodał inny, oziębłość lub zapał, namiętność do gry lub trunku, skłonność do cnoty lub zbrodni, wszystko to pochodzi ze krwi, z temperamentów. Ten naprzykład obdarzony temperamentem ognistym kończy nieraz awanturniczo, gdy przeciwnie, gdyby był temperamentu powolnego, byłby sobie umarł najspokojniej i najpoczciwiéj. Utrzymują, iż ludzie są takimi, jakimi ich wychowanie zrobiło—bajki to są; ludzie bowiem są takimi, jakimi byli rodząc się. Szczęście dla tych, których budowa ciała jest dobrą, a tém gorzéj dla tych, których ona taką nie jest.

— To co mówicie, rzekł pierwszy, pochodzi z fałszywego zapatrywania się na świat, i gdyby ludzkość, tak była istotnie utworzoną, jak wy utrzymujecie, to byłaby prawdziwą plagą, i w takim razie należałoby uwiązać jéj kamień u szyi i wrzucić ją z nim do Wisły. Czyż można naprzykład przypuścić, ażeby człowiek mający śmieszności, wady, występki lub złe namiętności, nie był w stanie z nich się poprawić? Potrzeba tu tylko, moi panowie leków innych, potrzeba działać na serce, na rozum, gdzieby proszki i pigułki nie były w miejscu, a tak poczynając, jestem przekonanym, iżby z tych niedostatków i wad wykurować potrafił.

—Ze śmieszności? może z występków lub namiętności? — nigdy! odrzekł zapytany. Pokażże mi naprzykład człowieka chciwego, gracza, samoluba lub skąpca poprawionego— wyzywam cię...

— Skąpca poprawionego? Jest jeden taki pomiędzy nami, a tym jestem ja, rzekł gospodarz.

— Tybyłeś skąpcem, zawołali obecni? —ty? to niepodobna!...

— Tak, odrzekł gospodarz, a obok tego byłem zrzędą i dziwakiem do nieznieisenia; dziś zaś, jak widzicie, jestem z tego zupełnie wyleczonym.

— I któż cię tak cudownie wyleczył?

— Kto?—jedna łza dziecka.

Tu się uwaga podwoiła, obecni przysunęli się bliżéj do gospodarza, a ten zaczął opowiadać w te słowa:

— Było to w roku 1834; powróciwszy wieczorem od moich pacyentów do domu, zastałem w nim dwa listy z Kalisza: jeden od bogatego kupca i bankiera tamtejszego, który mnie wzywał do choréj żony, obiecując odpowiednie wynagrodzenie, drugi zaś, zawierał te tylko słowa:

„Panie! żona i córka twego brata umierają z nędzy. Kilkaset złotych nadesłane bezzwłocznie może im życie uratować, obecność zaś twoja, może im powrócić zdrowie.

(Podpisano) ksiądz Rylski proboszcz.“

Mówiłem wam co tylko, i nie obawiam się tego powtórzyć, gdyż uczynić to mogę dzisiaj bez zarumienienia, iż byłem skąpcem ogromnym. List więc księdza Rylskiego przykre zrobił na mnie wrażenie, nie dlatego, iżby mię bolało smutne położenie bratowéj i jéj dziecka, lecz że widziałem w nim odezwę bezpośrednią do mojéj kieszeni—pogniotłem go ze złością i postanowiłem sobie nie dać ani grosza. Co do listu bankiera, ten, jak się łatwo domyślicie, był mi daleko przy-

jemniejszym, a że wymagał bezzwłocznego wyjazdu, wsiadłszy więc na kuryerkę, wyruszyłem nazajutrz rano do Kalisza.

Przez ciąg podróży obliczałem tylko wysokość wynagrodzenia, jakiego będę mógł żądać od bankiera za moje trudy i opuszczenie miejscowych pacyentów, których listownie jednemu z mych kolegów poruczyłem; z góry oceniałem moje rady, taksowałem każde słowo, każdą literę recepty.

Co się tyczy mojéj bratowéj, myślałem o niéj jak można najmniéj, a jeżeli mi się czasem obraz jéj niedostatku i nędzy nasunął, starałem się go jak najprędzéj pozbyć. Oh! było to źle, bardzo źle, gdyż i tak już byłem dużo względem méj bratowéj zawinił.

Na kilka lat przedtem, brat mój młodszy, co był podówczas podporucznikiem w wojsku polskiem, a następnie już jako kapitan poległ w kampanii r. 1831, napisał był do mnie list, w którym donosił, iż zaślubia z miłości córkę po jednym ze swych kolegów, sierotę, któréj całym jedynie posagiem było wyborne serce, szlachetny charakter, cudna postać i lat ośmnaście; lecz ani grosza pieniędzy. Na list ten pełen szlachetnego zapału, odpowiedziałem jak nie można niedorzeczniéj i samolubniéj.

Żenisz się, pisałem, z kobietą, którą kochasz, ale która mniéj jeszcze jest milionerką, aniżeli ty... Bądź szczęśliwym, jeżeli potrafisz; lecz mówiąc między nami, robicie oboje nie pospolite głupstwo... Zakochany, wszystko widzisz w różowych kolorach, z czasem przyjdzie rozwaga i rozczarowanie. Jeżeli jest jeszcze czas, to daj pokój... Bywaj zdrów!

List ten, jak widzicie, nie był ani rozsądnym, ani dowcipnym, jakim go uczynić pragnąłem, natomiast był niedorzecznym i grubiańskim.

Moja bratowa była mazurką, to jest jak wiemy powszechnie, zacną, cnotliwą, lecz przytem dumną i upartą. Uparty jak mazur, mówi przysłowie, otóż i moja bratowa była nieodrodną córką swego plemienia. Nie zapomniała więc mi nigdy owego listu, i w sercu swem powzięła głęboką pogardę dla mnie. To też gdy mąż jéj na polu chwały śmierć znalazł, kiedy bez wsparcia, bez nadziei, zmuszoną się widziała walczyć z nędzą i chorobą, postanowiła raczéj umrzeć, aniżeli zażądać pomocy szwagra. I byłaby niewątpliwie umarła, nie napisawszy do mnie i nie przebaczywszy mi, co byłoby wprawdzie dowodem wielkiéj stałości charakteru, ale wcale nie pochrześciańsku. Lecz nie była samą na świecie; miała ona córeczkę, cudną dziecinę, co pilnując łoża boleści, na którem dogorywała matka, znosiła głód z anielską cierpliwością, niknąc codziennie. Niepodobna więc było naszéj mazurce być dłużéj upartą, przy miłości, jaką miała dla córki; pojęła ona to dobrze, iż chcąc ocalić dziecię, trzeba jéj było zebrać odwagę i starać się obudzić czułość szwagra, jakkolwiekby był złym i nieużytym. Myśl swoję w téj mierze objawiła ona miejscowemu proboszczowi, człowiekowi zacnemu i litościwemu, którego w tym celu przyzwała do siebie. Zbadawszy bliżej położenie téj nieszczęśliwéj kobiety, poznał on, iż główną jéj chorobą była nędza, głód i troska; lecz sam niewiele posiadając, mógł tylko udzielić choréj pomoc nader niedostateczną. Lekarz miejscowy za jego wpływem zajął się nią troskliwie, ale cóż mógł uczynić przy braku wszelkich wygód i środków, na jakich choréj zupełnie zbywało?

Takim był ów zacny kapłan, od którego list odebrałem.

Kiedym przybył do Kalisza, ksiądz Rylski, oczekiwał na mnie przed pocztą; ponieważ nie byłby on się wahał ani na chwilę przybiedz na ratunek siostry, otrzymawszy podobną wiadomość, jaką mi sam był udzielił, w prostocie swojéj, rzekł do siebie: I on toż samo uczyni, i oczekiwał mnie codziennie. Kiedy podróżni z kuryerki wysiedli, on dowiedziawszy się o mnie, przybiegł i temi mię słowy powitał:

— Nie traciłeś pan, jak widzę, czasu; przeczułeś, że opóźnienie twoje byłoby wyrokiem śmierci dla bratowéj—Bóg cię wynagrodzi za ten dobry uczynek.

Po tych słowach i po sukni duchownéj, łatwo mi było poznać księdza Rylskiego. Pochwała ta jego zdała mi się gorzkiem szyderstwem, ale nie miałem odwagi wyznać, iż na nią nie zasługiwałem. Okoliczność więc ta była powodem, iż zamiast do bankiera, do którego jedynie przyjechałem, poszedłem wprost do bratowéj, do któréj mię proboszcz zaprowadził. Znalazłem ją w nędznéj stancyjce, wśród ciasnego podwórka, do którego się żaden promień słońca przedrzeć nie zdołał. Przy łóżku jéj stała mała dziewczynka, z pięknemi wielkiemi oczami, mocno odznaczo

ną brwią, z główką otoczoną bogatym złotobłąd włosem, z twarzyczką rozumną, na której malowały się pewna powaga i zdanie się na wolę Bożą, jakie daje nawyknienie do cierpienia. Nie macie pojęcia, jak była piękną pomimo wynędznienia i bladości, i jak ta bladość i wynędznienie były wymownemi.

Przypatrywałem jéj się w milczeniu... Zacząłem wtedy pojmować, iż jest w dzieciach jakaś siła przyciągająca, jakiś urok potężny, który wywiera zbawienny swój wpływ nawet na serca zamknięte całkiem wrażeniom słodyczy i czułości. Byłbym rad ucałować miłe to dziecię; ale obrzydłe skąpstwo nasunęło mi zaraz tę nikczemną myśl, że jeżeli dam się poruszyć, to już będzie po mnie, gdyż obarczę się obowiązkami bez liczby, od których się dotąd tak starannie zawsze usuwałem. Pomyślałem sobie, iżby mi wtedy wypadało zniszczyć wszelkie ślady nędzy, jaką miałem przed oczyma i łożyć na to niemało grosza, którym tak kochał. Myśl ta przeraziła mnie, i cofnąłem się mimowolnie, jak człowiek, co się cofa, widząc przepaść przed sobą.

Zacny proboszcz, nie mogąc przypuścić ani odgadnąć, ile było we mnie oschłości i okrutnego samolubstwa, przerażenie moje wziął za litość — to wahanie się skąpca wobec boleści, któréj widoku byłby rad uniknąć, zdało mu się być wzruszeniem czułéj duszy; smutny uśmiech przebiegł przez jego lica, i ściskając mi rękę, rzekł:

— Widok téj wielkiéj niedoli wzrusza cię panie! i nie dziwię się temu bynajmniéj, boś mało przywykł do niego, a tu zbyt on zbliska serce twoje dotyka — my kapłani ze swego powołania jesteśmy bardzo często świadkami rozmaitych cierpień i boleści, dlatego mniéj ich obraz czyni na nas wrażenia; ale przybliż się panie, widok twój może ją uleczyć.

I wziąwszy mnie za rękę, przyprowadził do łóżka choréj. Grube krople zimnego potu wystąpiły mi na czoło, wstyd szarpał mi duszę, a złość wewnętrzna męczyła.

Kiedy mnie bratowa ujrzała tak blisko siebie, wtedy uniosła się z trudnością na posłaniu. Na twarzy jéj malowały się naprzemian jakiś nieokreślony smutek i duma; walczyła z sobą długo nieszczęśliwa kobieta. Dużo ją widać kosztowało prosić o łaskę człowieka, w którym nie pokładała zaufania! To też nie zniżyła się do prośby, lecz wychudłym swoim palcem i drżąc cała ze wzruszenia, wskazała na córkę, potem z tą wymową serca, która przenika aż do głębi,

— Oto! biedny aniołek, który wkrótce nie będzie miał matki, zawołała.

Ta krótka, ale przejmująca odezwa nieszczęśliwéj matki, odezwa, w któréj malowała się cała trwoga o przyszłość jedynego dziecięcia, nie wzruszyła mnie jednak; obawiałem się spojrzeć na małą, ażeby wytrwać w swem nieludzkiem postanowieniu, i z jak największą odrzekłem oziębłością:

— Na cóż te smutne myśli? jesteś pani jeszcze dość młodą, przy pomocy więc dobrego lekarza nie masz potrzeby niczego się obawiać. Każdy inny byłby dodał: masz brata, który szczęśliwym będzie, gojąc boleści twoje, jakich w części stał się przyczyną. Rachuj na niego, będzie on ojcem twojego dziecięcia.

Ale ja nie dodałem tego, jedna tylko myśl wciąż mi była obecną, myśl o ucieczce.

Kiedy niepewny wahałem się i obmyślałem, jakby się ztąd wynieść najgładziéj, rozkoszna owa dzieweczka, nie przestawała spoglądać na mnie wzrokiem, okazującym więcéj zdziwienia, aniżeli trwogi—poczem zbliżyła się do mnie, wzięła rękę moję z rąk plebana, i wskazując na krawędź łóżka, na którem spoczywała matka, najsłodszym, jakim kiedy słyszał głosem, wyrzekła:

— Siadaj tu, gdyż jesteś za wysokim, ażebym mogła cię pocałować, jeżeli mnie nie weźmiesz na kolana. Usiadłem a dziewczyna wciągnęła mi się sama na kolana, co widząc matka, wzniosła oczy w niebo i zdawała się modlić.

Co do mnie, czułem, iż chwila stanowczéj walki nadeszła; okryłem więc serce moje potrójnym puklerzem. Wmawiałem w siebie, że kobiecie téj i jéj dziecku nie byłem nic winien; że zarobek pracą moją nabyty, moją też wyłącznie jest własnością, że przyszłość jest odległa i niepewna, któréj nie zabezpieczyć, byłoby nierozsądkiem — przywodziłem sobie jednem słowem wszelkie zgoła pobudki, jakiemi miłość własna umie się w potrzebie posiłkować. Takie wyrobiwszy w sobie przekonanie, postanowiłem być nieugiętym, i zmarszczywszy brwi, spoglądałem na dziecinę, ktora patrzyła również na mnie — wzrok jéj czysty i niewinnie śmiały, zatapiał się w mojem oku; zdawała się wyszukiwać, z któréjby strony zrobić wyłom w téj lodowéj po-

włoce, jakąm się okrył—zarzucając wreszcie drobne swe rączki, około mojéj szyi, rzekła do mnie srebrnym swoim głosikiem:

— Czy chcesz być moim ojcem?... ja cię będę bardzo kochać!.., gdyż bardzo jesteś podobny do mojego ojca!... i on zdawał się być zawsze takim złym jak i ty, ale był dlatego bardzo dobrym, i choćby nie wiem jak się zmarszczył, tom się go wcale nie bała... a ty? czy także jesteś dobrym?...

Ile było wdzięku i powabu w tem odwołaniu się téj dzieciny do mnie, tego nie potrafię wam określić; pomimo to nie ustąpiłem i zbierając w ostatniem wysileniu, ile tylko miałem surowości w swém sercu, odczepiłem z żywością drobne jej rączęta, któremi obejmowała moję szyję, i nie rzekłszy słowa, postawiłem ją na ziemi.

W téj chwili, ujrzałem na jéj twarzyczce, tak cudownie odbijającéj wszelkie wrażenia, malującą się okropną boleść, i łza tocząc się zwolna po bladéj jéj twarzyczce, spadła gorąca na drżącą moję rękę.

Wtedy zrobił się we mnie jakiś wewnętrzny przewrot; moje skąpstwo i grubiaństwo przedstawiły mi się nagle w całéj swéj ohydnéj prawdzie—rumieniec wstydu wystąpił mi na czoło... Byłem pokonany—nie starając się walczyć już dłużéj z tym popędem dobroci, jaki każdy człowiek piastuje w swéj duszy, odrzuciłem wszelkie rozumowanie; dosyć mi było czuć... i idąc za popędem téj rozkoszy serca, tak nowéj dla mnie, wyciągnąłem ręce ponad głową dziecięcia, i zawołałem:

— Przed Bogiem! i przed matką twoją, którzy mnie słyszą, przyrzekam być ci ojcem, i nigdy, przysięgam to, żadna córka nie była czuléj kochaną, jak ty nią będziesz.

Ach! gdybyście widzieli wtedy matkę, kiedym wymawiał moję przysięgę! Oczy jéj błyszczały, twarz, na któréj promienił dziwny blask, zdawała się jaśniéć szczęściem; pierś wznosiła się szybko, usta otwierały do wyrzeczenia jak się zdaje podzięki, ale głosu im brakło. Proboszcz i ja byliśmy w okropnéj trwodze; sądziliśmy, iż biedna umrze z radości, ale radość nie zabija. Wkrótce chora odetchnęła wolniéj, głos wrócił na usta, i rzekła do mnie:

— Bracie! źlem cię osądziła —mówiła coś jeszcze, ale niechciałem słyszeć, bałem się, ażeby czego Boże broń, nie chciała prosić mię o przebaczenie za własne moje grubiaństwo, bo byłbym chyba umarł ze wstydu i wyrzutów sumienia.

Przerwałem jéj więc, zwracając uwagę na zbytnie jéj osłabienie, i na potrzebę zachowania zupełnego milczenia; proboszcz poparł moję uwagę, czem zdołaliśmy chorą zniewolić do zakończenia podziękowań—ruch warg dawał nam znać jedynie o modłach, jakie zasyłała Bogu. Wtedy to zapisawszy jéj lekarstwo uspokajające, wziąłem proboszcza na bok i wręczając mu pugilares z pieniędzmi:

— Zacny kapłanie, rzekłem, o jednę jeszcze proszę cię usługę; potrzeba, iżby siostra moja opuściła bezzwłocznie tę obrzydliwą ruderę. Nie byłem nigdy w Kaliszu i nie znam tu nikogo. Bądź więc tak dobrym, wyszukaj dla nas jak można najprędzéj, parę obszernych pokoi wśród ogrodu i świeżego powietrza.

— Uczynię to chętnie, odrzekł zacny proboszcz, jakkolwiek wiem, iż nie będzie ona długo się niemi cieszyć.

— Chociażby jeden dzień tylko, odrzekłem z żywością, to i tak będzie niemałą pociechą wśród życia łez i nędzy, jeden dzień szczęścia.

Nazajutrz byliśmy już w nowem mieszkaniu.

Domek, ktory zamieszkaliśmy, był niewielki, ale cudownie położony wśród obszernego ogrodu nad brzegiem rzeczki Prosny. Tam ubiegły nam trzy miesiące, w ciągu których usiłowałem wyrwać biedną moję siostrę chorobie, jaka ją trawiła. Wmawiałem w siebie częstokroć nadzieję, że tego dokażę, a nadzieję tę zdawała się wspierać ciągła jéj spokojność i słodki uśmiech, co przebiegał przez jéj usta; wtedy zwłaszcza, kiedy widziała mnie bawiącego się jak małe dziecko, pomimo moich lat 40 i siwego włosa, z jéj coreczką, któréj przysiągłem być ojcem.

Ale niestety nadzieje te nie miały się ziścić. Zbyt długo trwała walka pomiędzy chorobą a chorą; zdrój życia wyczerpał się w téj walce, nauka i najtroskliwsze starania okazały się niedostatecznemi. Siostra moja znała lepiéj swój stan, jak my wszyscy, cośmy ją otaczali; wiedziała, iż się kres jéj zbliżał i oczekiwała go bez bojaźni, a jeżeli rzadko o tem mówiła, czyniła to jedynie przez wzgląd na łzy ukochanego dziecięcia.

Wreszcie chwila fatalna nadeszła.

Wśród pięknego jesiennego wieczoru, jakie zwykle w klimacie naszym miewamy, kiedy księżyc w pełni rzucał światło na ogród i rzek,

w któréj się odbijał, a ciepły wietrzyk rozwiewał rozpuszczone włosy mazurki, co siedząc pomiędzy mną a córką, oddychała z rozkoszą orzeźwiającém powietrzem wieczoru— wtedy to uczułem znagła konwulsyjne ściśnienie jéj ręki; zimny dreszcz przebiegł po mojem ciele, zwróciłem oczy na chorą—na twarzy jéj rozlany był niebiański spokój duszy.

— Bracie! rzekła ona do mnie, dzięki tobie; raz jeszcze przed śmiercią poznałam, co to jest szczęście, umieram spokojna... Ty, kochać będziesz moję córkę!... Bywaj zdrów!... Boże polecam ci duszę moję!...

Zamilkła, i wszystko było skończonem.

Śmierć ta, przyznam wam się, nie miała dla mnie nic okropnego; gdyż w ostatnich słowach umierającéj, w jéj słodkim uśmiechu, w tym promieniu nadziei, jaki błyszczał w jéj spojrzeniu, był jakiś pociąg, jakiś uroczysty spokój—nie był to cień trwogi i zniszczenia, ale raczéj blask dnia pięknego.

Od téj chwili córka mego brata stała się moją. Poświęciłem się dla niéj wyłącznie—dla niéj wyrzekłem się słodkich węzłów małżeńskich, które byłyby mogły mnie od niéj oderwać; jéj radości stały się mojemi i jéj życie mojem życiem. Ach! ja jéj tyle byłem winien, przez nią to stałem się takim, jakim mię znacie. Łza jéj, owa droga perła, którą serce moje przyjęło, była dlań tem, czem kropla rosy dla kwiatu, co się jeszcze nie otworzył; ona go rozwinęła i uczyniła przystępnym dla słodkich wrażeń i uczuć poświęcenia i miłości bliźniego.

A więc można, jak widzicie, uleczyć się nawet ze skąpstwa i samolubstwa; potrzeba tylko silniejszego działania na serce, w którem brzydkie te namiętności zamieszkały, potrzeba jednem słowem łaski Bożéj—i gdyby każdy z tych, co zamknął serce słodkim tym uczuciom, mógł pojąć nieskończoną rozkosz, jaką one rodzą, toby sam biegł naprzeciw nich, aby oschłe swe serce choć jedną ich kroplą orzeźwić.

Tak zakończył opowiadanie swoje gospodarz, a obecni głęboko wzruszeni, pożegnawszy go, powrócili do siebie, rozmyślając nad cudownemi zrządzeniami Opatrzności.

Pszczelnictwo.

Pszczelnictwo ważną jest gałęzią gospodarstwa krajowego. Na naszéj ziemi kwitło ono z bardzo dawnych czasów; bo nawet Piast, ów kołodziéj w Kruszwicy, od którego poszła królewska familia Piastów, wygasła na tronie polskim z Kazimierzem W., miał liczną pasiekę, i jak podanie mówi, kiedy przybyli po niego posłowie, zastali go z miodem płynącego przez jezioro Gopło.

W Polsce dawniéj istniały osobne prawa bartnicze, byli *starostowie miodowi*, którzy zajścia między bartnikami i spory sądzili.

W roku 1067 już jest wspomniane w dawnych księgach sycenie i miód *sycerą* zwany.

Główną gałęzią zatrudnień gospodarskich pszczelnictwo było w ziemiach ruskich. W ziemi Żmudzkiéj zaś najlepsze bywały miody—niezliczone roje pszczół wyrabiały je tu w obszernych i krzewistych lasach; miód żmudzki mało miał wosku.

Kowieńskie, ukraińskie, wołyńskie, tomaszowskie nie ustępowały żmudzkiemu. Dawne pieśni litewskie nuciły o tych miodkach, a lud w powszechności poczytywał, jak i poczytuje je za lekarstwo.

Na Litwie słynął miód *Gasztołtów* zwany. Było to płyn najwyborniejszy złotego koloru, gęstawy, jak sos ze szczupaka.

Na Wołyniu znowu był miód, który polacy dla tęgości i wybornego smaku nazywali *dyptamem* t. j. dubeltowym. Przypisywali mu dziwne przymioty, że nietylko życie, lecz serce rozwesela, i wszelkie choroby wypędza z ciała.

Za kończącego się rodu Jagiełłów u dworu królów jeszcze wiele używano miodu. Król Zygmunt August wzywał starostów, czyli dzierżawców litewskich, aby dostawiali do dworu królewskiego miody.

Później nastały miody sławne, *lipcem* nazywane.

I dziś jeszcze na Litwie i Podolu pszczół ogromne roje, i tam miodku dotąd używają; w innych okolicach już inne niestety! trunki go zastąpiły.

Zarzucają niektórzy, iż teraz hodowanie pszczół i sycenie miodów jest utrudzone, bo lasów dużo wycięto, i żywność dla pszczółek

zmniejszono. Nie ulega wątpliwości, że borów ubyło, ale mamy za to rzepak i koniczynę, które są wybornym pokarmem dla tych wdzięcznych pracownic.

Do podniesienia pszczelnictwa nietrzeba wiele nakładów pieniężnych, ale więcéj znajomości i nauki w hodowaniu pszczół.

Sposób pielęgnowania pszczółek teraźniejszy, pracę daleko zmniejsza, a zysk podnosi. Więcéj pilności, dbałości, dobrych chęci i dobrych przykładów, a pszczelnictwo, ulubione ojców naszych zatrudnienie, zakwitnie na naszéj ziemi, tak obfitéj, pięknéj i żyznéj.

Nawet prócz zysku pieniężnego zatrudnienie to, podobnie jak i jedwabnictwo uszlachetni pracę, a ulepszy pracownika; bo pszczółka, ten żywy wzór pracowitości i ładu zawstydzi często leniwego i przypomni, jak pracować powinien.

Gdy miodki swe podawnemu mieć i pijać będziemy, ustaną wódki i inne gubiące ludność wiejską i miejską, z obczyzny pościągane trunki.

—

Z tych pobudek, pod napisem *pszczelnictwa*, umieszczać tu będziemy naukę hodowania pszczół, wiążąc z nią wszystko, co się z całością tego zatrudnienia łączy.

Ofiarowanie chleba nowego królowi Polskiemu.

Piękny był obyczaj w kraju naszym przynoszenia pierwszego chleba królowi.

Kraków dawna, i bogata stolica dopełniała zwykle na Śty Jan tego ojczystego, bardzo starożytnego i do ostatnich czasów króla Stanisława Augusta przechowanego obyczaju. Maluje on wdzięczną prostotę, uczciwe serce ludu i piękną cechę jego charakteru. Możeż być hołd piękniejszy i więcéj czuły, nad ofiarowanie monarsze pierwszego chleba, tego pierwszego daru niebios, a owocu naszéj urodzajnéj ziemi?

Skoro tylko najwcześniéj dojrzewające zboże, na najbardziéj słonecznéj niwie rosnące, zdatnem się stało na mąkę, ścinano je w snopy, mielono i smaczny chleb wypiekano. Wójt Krakowski na czele Radnych miasta i całéj gminy niósł go do zamku, kosztownie przykryty i na srebrnéj misie.

Zwyczaj ten istniał nietylko wtedy, gdy monarchowie polscy w stolicy starożytnéj mieszkali, ale nawet i potem, gdy ją do Warszawy przeniesiono z Krakowa. Wtedy to burmistrz krakowski, albo radny miasta Krakowa pocztą, lub na podwodach rozstawnych, niósł swemu monarsze bochenek nowego chleba, tę prostą, ale wdzięczną daninę, a król z czułością, i nieraz ze łzami przyjmował ją z sercem, jak z serca czynioną była.

Zwyczaj ten dawny, a piękny zostaje w styczności z dziesięciną, i opatrywaniem stołu królewskiego przez kraj, jak niemniéj witaniem przybywającego monarchy z chlebem i solą.

Wspomnienia historyczne.

Henryk zwany *Brodaty*, książę na Wrocławiu i Lignicy, wystawiwszy z natchnienia żony swéj Śtéj Jadwigi klasztor w Szląsku, i uposażywszy go bogato, sprowadził doń zakonnice z Bamberga; a kiedy oddając klasztor zaopatrzony we wszystko ksieni Petrucyi, zapytał, czyli by jeszcze czego niedostawało, ta odpowiedziała z niemiecka: *trzeba nic*. Przytomni temu dworzanie śmiać się z tego poczęli, książę zaś, który się biedził z wyszukaniem nazwy dla téj nowéj osady, podjął słowa ksieni, i nadał klasztorowi nazwę *Trzebanic* — ta późniéj w wymawianiu na *Trzebnic* zmieniona, dostała się i miasteczku, w którem klasztor ten się mieści.

—

Stefan Batory, król polski chwalebny miał zwyczaj, gdy zasłużonych i krew swą za kraj przelewających zachowywał w pamięci. Trafiło się raz, że gdy Pękosławskiemu ode dworu po posłudze Rzeczypospolitéj daleko będącemu, przywilej na starostwo Sandomierskie pisać kazał, rzekł mu Kanclerz: Miłościwy królu! wszakże o to nie prosi. Na co król odpowie: Aż nadto prosi, kto dobrze służy.

—

Katarzyna Sobieska, siostra Jana IIIgo zamężna Radziwiłłowa, mawiała: Dobra Francya, chwalebna Hiszpania, wesołe Włochy, bogate Niemcy, ale mi najmilsza Polska.

W drukarni J. Unger — Wolno drukować, Warszawa d. 12 (24) sierpnia 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.